

Ukochany oficer wodza

Juliusz Kaden-Bandrowski

Wszyscy byli ważni, wszyscy byli bliscy, ale ten, Belina, rotmistrz, major, później pułkownik Władysław Belina-Prażmowski, był oficerem Komendanta.

O najbliższym sobie wówczas szefie Sosnkowskim mówił Komendant: szef, nieraz wołał żartobliwie: obywatel szef. O Berbeckim Berbecki, czasem żartobliwie Burbaki, gdyż tak przedrzeźniano nazwisko pułkownika w piechocie, o Fleszarze po nazwisku albo pseudonimem Satyr, o czarującym oficerze Wyrwie-Furgalskim też zawsze wedle pseudonimu, nawet o Lisie-Kuli., o młodocianym bohaterskim Lisku nie powiedział nigdy inaczej, jak tylko Lis. Natomiast o Belinie ileż razy słyszeliśmy że powiadał: Władek Belina.

Władek Belina!

Było to wyróżnienie niesłychane, familiarna pieśczoćliwość wprost niepojęta. Całe otoczenie Komendanta, co więcej, cała Brygada, cała piechota I Brygady, a nawet hrabiowie-artyleryści (hrabiowie, jako że kradzionymi u Austriaków działami walczyli) wszyscy byli o tę czułość Komendanta do Beliny i do jego kawalerii zazdrośni.

Na wszystko mógł być sobie w I Brygadzie Piłsudski pozwolić, mógłby ją zmarnować, wystrzelać, czy królów z dębinosków porobić, mógłby być ją poprzebierać całą w P. O. W. czy w austriackie wojsko, czy w tureckie, ale na stosunek Komendanta do kawalerii (kawalerią wówczas nazywaliśmy już to półtora szwadronu!), i do jej wodza Beliny patrzyła Komendantowi I Brygada ostro na palce.

Nie chodziło tu o ocenę zasługi bojowej, pochwałę cnót wojskowych, czy bohaterstwa w bitwie. Wojna tyle daje do roboty i takie szczodre pole ofiar otwiera, że wszystkich we wszystkich gatunkach broni i służbach obdzielić zdoła prędzej, obficie, niżby się w najbardziej bohaterskich marzeniach spodziewać mogli.

Więc nie o to! Ale tu chodziło o ten uśmiech czarownicy, który się pojawiał na twarzy Piłsudskiego, kiedy się Komendantowi Belina na kwaterze meldował, o tę płochą radość, jaką promieniował Komendant, kiedy te kawalerzysty w jakimś specjalnym trójkowym szyku miały kłusem, prowadzone przez. Belinę i jego „dzikich“, wariackich oficerów.

Otóż to właśnie! Wariacki Belina i jego wariaccy oficerowie i całe to jego końskie wojsko wariackie, jakże wymyślnie przezywane przez bataliony piechoty; przezywane czikosani, cyrkiem Bellini a on sam przezywany wymyślnym mianem wodza, szczepów indiańskich Belina-Himpa-Dim-pa!

Cóż z tego, że przezywany ciągle! Lecz kiedy w ciasnej izbie chałupy, w której zatrzymał się Piłsudski podczas bitwy nad Wisłą, na Podhalu, pod Limanową czy Nowym Sączem, otworzą się drzwi nagle i, wejdzie rotmistrz Belina, zachlastany błotem aż po brwi, ten Belina o twarzy smagłej, oliwkowej osmaganej wichrem, rozjaśnionej błyskiem wielkich stalowych oczu, ten Belina z przy-marzniętym wąsem, z kudłami zwichrzonymi na głowie; ten Belina osobliwie postawny, niby skromny a właściwie



Śp Płk. WŁADYSŁAW BELINA-PRAŻMOWSKI Twórca Kawalerii Polskiej.

wyzywający, dziki i radosny, bohaterski, a bezczelny, taki Belina, że miłość swoją do Komendanta okazujący dziecinną i piekielną zarazem krwiożerczością, jak gdyby zawsze czekający szalonego rozkazu ze strony Komendanta, rozkazu, żeby tym półtora szwadronem rozbić korpus rosyjski, zdobyć, warowną twierdzę, ten Belina stukający odstrzelonym palcem twardo po mapie, niby młotkiem, ten Belina w każdej nowej miejscowości we wszystkich nazwach, drogach, wzgórzach, dolinach, kierunkach orientujący się od razu, jakimś niezawodnym zmysłem, lepszym niż psi czy koński, ten Belina ze źdźbłami słomy na portkach i w czuprynie, zionący koniem i czarką wódki wypitą na śniadanie!



Rotm. Belina ze swym synem Zbigniewem w roku 1917 w Ostrołęce.

Cóż, że wymyślaliśmy mu jakieś mogli, gdy Komendant na widok swego rotmistrza wołał od razu radosny, szczęśliwy:

I cóż nam powie nasza kawaleria?!

Zawsze czekał Komendant od Beliny, od nich, od naszej kawalerii czegoś niezwykłego, niespodziewanego, nadzwyczajnego, gdyż oni wszyscy, właśnie pod dowództwem tego rotmistrza byli dla Piłsudskiego czymś niezwykłym, niespodziewanym. Byli spełnieniem marzenia.

W wielkiej szarej pracy bojowej, w wielkim krwawym marzeniu spełnieniem samej piękności marzenia. Piechota, święta cierpieliwa piechota, to chleb wojny. Najważniejszy, jedyny, powszedni. Ale piękno, ale szaleństwo, ale to cudne wariactwo wielkich zamachów, przemijające dla samego siebie, chociażby bez pożytku, ze stratą, bez na; mniejszej korzyści... Dla samego siebie. Ten jakiś styl, polski, stary, zawadiacki, niechby nawet warcholski w męstwie!

Nie mówił o tym Komendant, nie nazywał tych rzeczy po imieniu, możeby się nawet przed swą piechotą wstydzi! o tym mówić. Ale to wszystko właśnie zamykał w roześmianych oczach, gdy się niby to żalił,

że — z tym Beliną, wiecie, to oszaleć można po prostu!

Ta ozdoba jakaś, zbytek boju, całe to gospodarstwo końskie, kowalskie, siodlarskie, rymarskie, rzemieńne, wiejskie, dworskowe wobec dzisiejszej broni tak kłopotliwe i ryzykowne! Czarowny nonsens zbytku takiej broni w naszych warunkach owoczesnych i w owoczesnym społeczeństwie: portek nie było, na broń się nie miało a tu nagle konie, araby, angloaraby, chabety rozmaite. Raz to schwyci karabin maszynowy i zsiecze wszystko na kapustę.

Ale to nic! Brygada Piłsudskiego będzie miała swą jazdę, swoich ułanów, swoją husarię będzie miała Brygada Piłsudskiego. Skrzydłami tej husarii, skrzydłami tej legendy porwie, poniesie naród prędzej może od najświetniejszych czynów piechoty.



Pierwsze odznaczenie Krzyżem / Brygady Rtm. Beliny i 7-iu Towarzyszy przez Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Uroczy i porywczy, gorący i szalony, a zawsze tak rozumny we wszystkich swych szaleństwach liczył i na to Piłsudski w wielkim rachunku sił, które mają budzić Polaków uspiionych już prawie niewolą.

Nie rozumieliśmy tego wszystkiego wówczas, a właśnie to wszystko, tę poezję, legendę, tradycję, te skrzydła przynosił Piłsudskiemu Belina od pierwszych chwil wojny polskiej, rozpoczętej o Polskę dnia 2. VIII 1914 roku przez konno-pieszy (to jest siodła na plecach niosący) patrol Beliny, wysłany w Kieleckie.

Wyszli pieszo, powrócili na koniach, już jako konnica, w parę dni później strzelali się w Kielcach. Tam to na szosie w Kielcach wybuchła bitwa w bitwie, wewnętrzna bitwa w bitwie zewnętrznej z dragonami Nowikowa. Jako wódz konnicy naszej stoczył Belina wewnętrzną bitwę z żołnierzem swoim, Wacławem Sieroszewskim, z bronią w rękę przymuszając go usunąć się spod strzałów.

Bo co, — krzyczał Belina jeszcze kilka tygodni później, — psiakrew, ustrzelą mi, cholera, takiego proroka, potem cała Polska wymawiać mi to będzie.

Trzebaż więcej dla Komendanta, który zaprawdę nie gorzej chyba od Beliny rozumiał, co znaczy prorok, co taka bitwa w Kielcach, a co Polska.

— Wiecie — śmiał się Komendant — Belina nie boi się Rosjan ani nikogo, tylko się boi, że mu proroka ustrzelą.

Ale sam siebie nie oszczędzał Belina, chociaż właściwie sam wówczas też był prorokiem. Zagryzłaby się, zamartwiła, zakwaśniała w troskach i zmartwieniach piechota Piłsudskiego, turgana wówczas wszędzie od Dębłina, przez Laski, Krzywopłoty aż po Marcinkowice, Limanową, Łowczówek, Nidę, gdyby nie duch Komendanta, ale też i nie to radosne skrzydło tradycji, legendy, którym czarodziejsko szeleściły szwadrony jazdy Beliny.

Że gonili, patrolowali dniami, nocami, dla tej piechoty pracowali i ginęli — to dużo, ale też nic zarazem. Bo każdy goni, dech ostatni z siebie wypiera i musi robić, co musi aż do ran i do śmierci. Ale że ten styl trzymali furkotliwy, kawaleryjski, zawadiacki, ambitny, kmicicowski! I w tych wszystkich troskach i w tym całym zamęcie końskim umieli jakoś wydzwignąć taki fason rycerski! I takie serce dla wodza, — nikt tak nie umiał pocieszyć Komendanta, uradować, rozczulić, nikt go tak nie umiał ogarnąć zącą słodyczą obyczaju rycerskiego jak Belina. Sama poezja tchnęła z rotmistrza Prażmowskiego, sanio piękno wesołe, a zarazem rubasznie w obyczaju wojskowym utwierdzone.

To on, Belina, taki obyczaj zaprowadził w swym dywizjonie, że wszyscy oni tam byli, jak jedna rodzina, on ojciec, szef, zwierzchnik plemienia, a wszyscy tamci — bliżsi, czy dalsi krewni. Wszystko tam u nich było jednym wspólnym rodzinnym obyczajem. Srogo męczarnie zadawał Komendant Belinie przy nominacjach. Rotmistrz włosy sobie z głowy wydzierał w obliczu krzywd doznanych i bronił swoich ludzi przedstawionych do nominacji, Komendant zaś wysłuchiwał tych obronnych charakterystyk ludzi, podoficerów, czy oficerów, jak dziwów z tysiąca i jednej nocy.

To Belina, który jeden jedyny prócz Szefa Sosnkowskiego mówił do Piłsudskiego „Komendancie“, nie zaś „obywatelu Komendancie“, uświetniał wszelakie okazje, czy święta, czy rocznice, przyjeżdżając do Komendanta komunikiem i czcząc go u siebie na postojach, czym tylko można było: rycerskim ceremoniałem, fanfarami na srebrnych trąbach, szpalerem szabel wyciągniętych, salwami, aż się pobliskie linie okopów na odgłos takich strzałów zajmowały palbą karabinową.

Kiedy zaś Komendant uległ nareszcie przedstawieniom Szefa Sosnkowskiego a także ostatecznej konieczności i wraził w końcu szwadrony Beliny w r. 1915 w ziemię nad Nidą do okopów, jeden Belina mógł sobie pozwolić na takie bunty, że się wyklócał o każdego żołnierza w okopach i o każdego koniasierotę, — jako że jazda jest do jazdy, nie zaś do piechociarskiej służby!

W okopach i bez koni, ale rotmistrz nie ustał w kawaleryjskiej fantazji. Naradzał się, do Krakowa do muzeum wyjeżdżał, swoich ułanów-historyków przywołał do narady i jeszcze tam nad Nidą przemundurował swoich wojaków w kaski Poniatowskiego, w sznury srebrne i w czerwone rabaty i orły im posprawiał białe srebrne i pasy takie same.

Że kaskiem w klusie będzie wadził o drzewo? Że go z daleka widać? Tamci, dziadowie, jeszcze bliżej strzelali, jeszcze ich lepiej, widać było i co? Sens, czy nonsens, rzeczy biorąc praktycznie? Ułańska sprawa. Ale nasza i innych brygad i wszystkich batalionów piechoty i wszystkich miast, do których triumfalnie wjeżdżali ci ułani, bo wszystkim serca topniały, bo to była żywa legenda zjeżdżająca na ziemię niewoli ze sławnych lat wolności.

Jeden Belina mógł doprowadzić do tego, że stanęli we dwóch do Komendanta do raportu dwaj naczelni rotmistrze jazdy I Brygady: Belina i Orlicz-Dreszer. Do raportu Brygady nikt nie stawił, bo nie śmiał martwić Komendanta. Ale ten raport Piłsudski przyjął, odbył, rozszadził. Pamiętam Komendanta na

ławeczce brzozo we j z ramionami rozrzuconymi przez oparcie, z jednej zaś strony Orlicz w postawie zasadniczej, srogi rycerz, z drugiej strony Belina rozwichrzony zagończyk.

Pod pokrywą formalnych spraw, szło tam o ducha tej kawalerii, Komendant zaś miał wybrać, czy stalowa współczesność Orlicza, czy ten dziki romantyzm?...

Okrutnie skrzyczał obu swych ulubieńców, no bo jakże przymuszać do wyboru w sprawie takiej, gdzie rzecz sama się staje, odbywa, żywcem spod Stoczka, Samosierry przeniesiona do tego wojska najbiedniejszego, a któremu w historii przypadło spełnić zadanie najtrudniejsze.

Raporty i rozkazy i gniewy i obrazy i wichrzenie czupryny i że sobie pułkownik Belina włosy z głowy wyrывał?! Jeszcze większa z tego powstała miłość Komendanta, jeszcze żywsza współpraca.

To Belina w trudnym kryzysie przysięgowym zagrzewał innych przykładem swoim, to Belina, choć już był słabo z sercem, w wojsku generała Romera poszedł do szarży a potem na bagnety, to Belina z Orliczem, z całą gromadą swych świetnych oficerów pędził z flanki na Wilno.

Różni ludzie byli w I Brygadzie, różni: ten cierpliwszy w obronie, a ten lepszy gospodarz, a ten i lew i gospodarz zarazem, a ten ogniem u-miał zarządzać lepiej, a ten w nocy dla całego swego batalionu umiał widzieć, jak kot, tamten całość manewru odczuwał aż od samego końca z pierwszego rzutu oka. Ale Belinie jednemu jedynemu w całej I Brygadzie, w Legionach i w całej! armii polskiej za młodociany poryw, za romantyczną, czarowną lekkomyślność, za te skrzydła tradycji, zaszum legendy, którym umiał od razu otoczyć bataliony Brygady, wolno było oprzeć głowę na piersi Piłsudskiego i kochać go niesfornie a gorąco, i radośnie i krnąbrnie, jak tylko można w życiu kochać ojca .

Trudy, walki, cierpienia, rany, śmierć przynoszą sławę żołnierzowi. Belina miał rzecz droższą od sławy. Był ukochanym oficerem Wodza. Artykuł zamieszczony w Gazecie Polskiej z dn. 16. X. 1938 r.